

Przystanek historia

<https://przystanekhistoria.pl/pa2/tematy/zbrodnie-wolynska/127138,Ocaleni-z-ludobojstwa-Relacja-Leny-Swietozielskiej.html>



WSPOMNIENIE

Ocaleni z ludobójstwa. Relacja Leny Świętozielskiej

OKRES HISTORYCZNY

(1939-1945) II wojna światowa

13.08.2026

Lena Świętozielska opisała dramatyczny przebieg zbrodni ukraińskiej, dokonanej w kwietniu 1943 r. we wsi Borki, gm. Dederkały, pow. krzemieniecki, woj. wołyńskie.

Relacja dotyczy upamiętnienia rodziny Świętozielskich, zamieszkałych we wsi Borki, gm. Dederkały, pow. Krzemieniec, woj. wołyńskie. Z mojej rodziny zostali zamordowani:

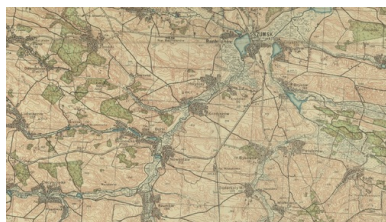
- Świętozielski Józef, s. Wincentego – 42 lata,
- Świętozielska Katarzyna, żona Józefa – 36 lat,
- Świętozielska Zofia, córka – 13 lat,
- Świętozielski Mieczysław, syn – 8 lat,
- Świętozielska Franciszka, córka – 3 lata,
- Stanisławska Anna, matka Katarzyny, teściowa Józefa.

Napad na naszą rodzinę według mej pamięci był w kwietniu po Świątach Wielkanocnych 1943 r. Było bardzo ciepło na dworze. Obudziła mnie babcia, mówiąc: „Wstawaj, Lenko, bo przyszli nas wymordować”, więc ja wystraszona pobiegłam do izby, gdzie wszyscy byli już na nogach. Przy drzwiach stali mężczyźni z karabinami, nie pamiętam ilu, czterech lub pięciu.

Ojciec i mama, trzymając małego braciszka, prosili, żeby nas nie zabijali, bo się wyprowadzimy, ale jeden z Ukraińców był stanowczy i powiedział, że „jak zabijamy, to wszystkich” i kazali nam kłaść się głową do ściany, a twarzą do ziemi. Pamiętam, że ojciec położył się pierwszy, a reszta rodziny za nim. Ja kucnęłam na łóżku rodziców za poręczą, a mama w dalszym ciągu stała na środku i prosiła o życie dla rodziny. Nic to nie dało, a wtedy widocznie zauważyła, że mnie nie widzi i zaczęła wołać: „Lenko, gdzie jesteś?”. Odezwałam się i wtedy powiedziała:

„Kładź się ze wszystkimi – jak zginiemy, to wszyscy razem”.

Położyłam się przy łóżku, a obok mnie najmłodsza siostrzyczka. Zaczęli strzelać – ona w płacz, więc przytuliłam ją do siebie i uspokajałam. Mamę zabito na środku izby. Ja zachowywałam się bardzo ostrożnie i cicho. Ukraińcy myśleli, że już zrobili swoje, bo zaległa cisza, więc zgasili lampę, a drzwi zaryglowali, odchodząc spokojnie. Zostałam ciężko ranna w prawą nogę, ale miałam to szczęście, że nie podpalili chałupy, bo bym nie wyszła z tego żywa. Podniosłam się z wielkim wysiłkiem, potem weszłam na łóżko rodziców. Mokra od krwi czekałam poranka.



**Okolice wsi Borki, gm. Dederkały,
pow. krzemieniecki, woj.
wołyńskie we fragmencie mapy
WIG, 1931 r. (ze zbiorów
Biblioteki Narodowej)**

Było jasno, gdy usłyszałam damskie głosy wokół domu. Zaczęłam wołać i wtedy do okna podeszły kobiety, Ukrainki. Prosiłam, żeby zabrały mnie na zewnątrz. Wybiły szyby i jedna z nich weszła do środka, wzięła mnie na ręce i podała przez okno drugiej. Położyły mnie na trawie przy domu, a same zaczęły przygotowywać pogrzeb mojej Rodziny. Wykopały za domem dół i z uśmiechem zaczęły nosić po kolei wszystkich. Leżałam, nie mogłam się podnieść. Poprosiłam, że jak będą nieść mamę, to niech powiedzą. Zebrałam resztki sił i uniosłam się, leżąc na wpół zgięta – i tak uczestniczyłam w pogrzebie przy dole śmierci mojej rodziny. Następnie kobiety zapytały, gdzie mają mnie zanieść. Powiedziałam, że do stodoły, byle nie do domu, gdzie lała się krew. Chciałam, żeby zabrały mnie do siebie, ale powiedziały że nie mogą, bo inni wiedzą, że żyję, i jak po mnie przyjdą, to ich rodziny też zabiją.

W stodole leżałam dość długo, jedzenie przynosili mi dobrzy ludzie, którzy szybko stamtąd wychodzili. Towarzyszami moimi w bólu i samotności były nasz pies i kot – prawdziwi przyjaciele i członkowie rodziny. Inwentarz żywy zabrano chyba w nocy, bo panowała zupełna cisza. Po paru dniach przyjechał mężczyzna z kilkoma kobietami i zawieźli mnie do szpitala w Szumsku, gdzie zrobiono mi opatrunki. Z lewej nogi usunięto mi z pięty widoczną kulę. Powiedziano, że trzeba zawieźć mnie do większego szpitala. Wróciłam ponownie do stodoły, gdzie leżałam znowu przez tydzień. Potem przyjechali inni ludzie, mężczyzna i kobiety, zabrali mnie do Sosnowki, gdzie czekał na mnie ciężarowy samochód z dwoma uzbrojonymi niemieckimi żołnierzami i cywilami – dwóch mężczyzn i jedna kobieta. Położono mnie na siedzeniu obok kierowcy, a drzwi pozostały otwarte. Żołnierze stali na stopniach samochodu, podając mi przez cały czas wodę do picia. Jechali bardzo ostrożnie i powoli. Wszyscy oni byli wspaniałymi ludźmi, bardzo mi pomogli.

Pod wieczór przywieziono mnie do szpitala w Krzemieńcu, gdzie byłam leczona przez trzy miesiące, a lekarzami byli Rosjanie w niewoli niemieckiej. Szli razem z frontem. Byli wspaniałymi lekarzami i ludźmi, uratowali mi życie i nogę. Martwili się, co będzie ze mną dalej i czy będę żyć. Kiedy byłam w szpitalu, jeszcze

przed operacją odwiedzała mnie babcia Maria Maciuk ze Stołbiec, gm. Werba, pow. dubieński. Bardzo płakała, a ja prosiłam, żeby znowu przyjechała i zabrała mnie do siebie, bo nie mam już nikogo. Niestety, według relacji jej córki Anieli Biedrzyckiej również i babcia Maria i dziadek Kajetan Maciuk, ojczym mego taty, zostali okrutnie zamordowani, więc już zupełnie straciłam wszystkich najbliższych. Jak przywieziono mnie do szpitala w Krzemieńcu, zmieniono mi imię Lena na Helena. Powiedziano, że teraz będę takie miała, ale nie wiem, dlaczego tak zrobiono. Posługuję się tym imieniem do dziś.

W szpitalu zaopiekowała się mną obca osoba, rodowita krzemieńczanka, Aniela Kowalska. Była osobą samotną i wspaniałym człowiekiem, zabrała mnie do siebie. Posiadała dużą rodzinę, siostry, braci oraz krewnych, wszyscy bez wyjątku byli bardzo dobrymi i wspaniałymi ludźmi. Starsze pokolenie odnosiło się do mnie serdecznie i pomagali, jak tylko mogli. Dziś młodsze pokolenia są dla mnie rodziną, pamiętają o mnie i jak trzeba, to się mną opiekują i troszczą o mnie. Naprawdę miałam wielkie szczęście, trafiając do takich wspaniałych i prawych ludzi i los sprawił, że zostałam ich ciocią kochaną – tak twierdzą, bez różnicy wieku. Aniela Kowalska była moim prawnym opiekunem do pełnoletności, wyrobiła mi sądownie dokumenty w 1953 r. Po zakończeniu wojny w lipcu 1945 r. wyjechaliśmy z rodziną Anieli Kowalskiej trzecim transportem w towarowych wagonach na Zachód. Dotarliśmy po miesiącu, w końcu sierpnia, do Drawskiego Pomorskiego. Mieszkałam tam ze swoją opiekunką przy rodzinie przez osiemnaście lat. Tam ukończyłam szkołę podstawową, a średnią, Technikum Handlowe, w Złocieńcu. Obecnie jestem już sama, moja ukochana opiekunka i ciocia, jak ją nazywałam, dawno odeszła i została pochowana w Drawsku Pomorskim.

Źródło: Archiwum Ewy Siemaszko

Tekst pochodzi z numeru 7-8/2023 „Biuletynu IPN”, gdzie został opublikowany w ramach bloku *Ocaleni z ludobójstwa*

COFNIJ SIĘ